

Przeciwieństwa polityczne w małej entencie.

Zjazd małej ententy w Belgradzie, który ma dojść do skutku już w najbliższych dniach, rozstrzygnie zapewne o dalszym istnieniu lub też o likwidacji tego ugrupowania. Jak wiadomo, za rządów p. Skirmunta istniała u nas tendencja związania Polski z małą ententą, oczywiście bez żadnej dla nas korzyści, a nawet z jawnym uszczerbkiem dla naszych interesów; tendencja ta istnieje poniekąd jeszcze dzisiaj, lecz sam rozwój stosunków w małej entencie rozsądza ją samą i nasz ewentualny współudział doprowadza do absurdu. W każdym razie zjazd belgradzki, czy załata narazie sprzeczności, czy też ujawni je jaskrawiej lub nawet doprowadzi do otwartego rozbicia, będzie miał dla nas niemałe symptomatyczne znaczenie.

Od samego początku właściwy cel małej ententy stanowił poniekąd zagadkę, która nie pozwalała wierzyć w żywotność i trwałość całej tej kombinacji. Oficjalnie głosi się, że to ugrupowanie z państw, zubożonych na sukcesji po monarchii habsburskiej ma uniemożliwić restaurację tejże monarchii. Atoli jest widocznym, że możliwość ta w obecnym składzie międzynarodowym jest zgola wyłączona i że tworzenie na ten wypadek asekuracyjnych związków jest co najmniej zbytecznym. Mała ententa to, tak że na straży bezsilności Węgier, którym nie pozwala się podźwignąć. Niezaszczytne to i z naszego punktu widzenia niesympatyczne zadanie jest obecnie dość łatwe wskutek okrojania i osłabienia Węgier i żadnych szczególnych wysiłków nie wymaga.

Dla Czechosłowacji mała ententa jest środkiem do zyskiwania wpływów w Europie i odgrzywania niejako roli mocarstwowej. Bessz opowiada lub przynajmniej deklaruje do zrozumienia w Paryżu, Londynie i Rzymie, że reprezentuje wspólną politykę trzech państw, których połączone siły i zasoby dosięgają niemal skali mocarstwowej. W tej taktyce politycznej czynnikiem głównym jest blaga i szarlataneria czechosłowacka, która zresztą za pomocą

fikcji i wystawianej na pokaz, a po życzonej siły osiąga pozytywne rezultaty. Wyzyskując w ten sposób Rumunję i Jugosławję, polityka czechosłowacka próbowała również wciągnąć na siebie reprezentację interesów Polski, ale sama się cofnęła przed niewykonalnym zadaniem, gdyż rozumiała, że wejście nasze do małej ententy przyspieszyłoby rozkład tej ostatniej.

Ważniejszą bowiem rolę od oficjalnych celów małej ententy odgrywa stosunek jej składowych państw do Rosji. Czechosłowacja i Jugosławia uprawiają nadal przed wojenne rusofilstwo, które nawet w pewnej mierze rozciągają na rząd sowiecki, o ile ten występuje jako sukcesor carystu i stróż państwowych interesów Rosji. Rumunja, która i przed wojną uważała Rosję raczej za wroga niż za opiekunkę, obecnie po aneksji Bessarabji, obawia się z jej strony otwarcia tego ataku. Ta ważna, a paląca kwestja staje się kamieniem prośmierzem dla małej ententy, która powinna zająć wobec niej określoną postawę, a wobec faktycznych sprzeczności, istniejących w jej łonie zrobić tego w żadnym razie nie może. Wprawdzie koalycja najformalniej przysłała Bessarabję Rumunii, atoli lojalność Czechosłowacji i Jugosławii dla mocarstw zachodnich nie idzie tak daleko, iż by w nich miała zachwiać zadawiony respekt dla państwowych interesów Rosji. A przecież w danym razie właśnie o nie chodzi, a bynajmniej nie o pozycję rządu sowieckiego. Bessarabja jeszcze do bycia Aleksandra I, stanowi kraj cenny, a prócz tego jest nader ważnym placówką w dalszych widokach Rosji na morze Czarne.

O ile Praga i Belgrad odinowia Rumunji w danym razie, choćby tylko dyplomatycznej pomocy, mała ententa przestaje mieć dla niej nawet pozory wartości. Zapewne będą czynione ze strony Francji próby kompromisowego załatwienia sprawy, lecz te mogą odnieść skutek tylko wtedy, jeżeli niebezpieczeństwo wojny będzie usunięte.

J. Mazurski.

Szczepienie tuberkulozy.

Genjalny wynalazek d-ra Calmetta.

Słynny wynalazek d-ra Calmetta przeciw tuberkulozie, polegający na zaszczepieniu odpowiedniej surowicy niemowlętom, zagrożonym tuberkulozą, a więc poniekąd środek prewencyjny, znalazł już w francuskim świecie lekarskim szerokie zastosowanie.

Naczelnym lekarzem jednego ze szpitali paryskich dr. Weill-Halle, który pierwszy wprowadził ten środek w swym szpitalu, tak się wyraża o tej nowej metodzie leczenia w rozmowie z jednym z paryskich dziennikarzy:

— Pierwszą próbę przedsięwzięcia przed trzema miesiącami. Po całym szeregu doświadczeń, dokonanych na zwierzętach, nabrałem pewności, że nowy ten środek jest zupełnie nieszkodliwy. Zdecydowałem się więc zastosować go do jednego noworodka. Wybrałem w tym celu dziecko, którego rodzice chorowali na gruźlicę płuc, i które miało w sobie zarodki tej strasznej choroby.

Nie mogę ukryć, że odczułem duży niepokój, gdy dałem małowstwu do połknięcia parę kropli tego płynu, o którym wiedziałem, że zawiera w sobie miliony laszczników tuberkulicznych. Próba się udała. Dziś dziecko jest zupełnie zdrowe i znakomicie wygląda.

Od tej pory miałem w swojej kuracji 217 dzieci. Zasadniczym warunkiem udania się kuracji jest stosowanie tej surowicy w pierwszych ośmiu dniach życia dziecka. Dotychczas wszystkie wyniki były doskonałe... Środek ten jest bardzo prosty i ogromnie tani, a więc dostępny dla każdego...

Istotnie wynalazek d-ra Calmetta ma niezwykle doniosłe znaczenie. Jeżeli przyszłość pokaże, że działa on rzeczywiście skutecznie i jest w stanie zapobiec rozwinieciu się gruźlicy w późniejszym wieku, to dr. Calmette zasłużył sobie na miano prawdziwego dobroczyńcy ludzkości.

Straszny wypadek samochodowy.

Donoszą o wypadku samochodowym, jakiemu uległ ks. Salm-Reiferscheidt, mianowicie, w chwili gdy samochód księcia przejeżdżał przez tor kolejowy, najechał na niego pociąg i zdruzgotał go.

Księżę i szofer zginęli na miejscu. Trzy panie, które jechały tym samym samochodem, zostały ciężko i przewiezione do szpitala w Düsseldorfie.

JUDAICA.

SYTUACJA ŻYDÓW W RUMUNJI.

W tych dniach rozpocznie się w Jassach rozprawa sądowa przeciw porucznikowi Mororesku, który dopuścił się całego szeregu krwawych zbrodni na żydach bezdomnych w Besarabji. Oskarżony, który dowodził strażą pograniczną w małym miasteczku Wortuzien nad Dniestrem, wymordował wielu żydów, a wielu ograł, terroryzując całe miasteczko.

Do rozprawy wezwano przeszło dwustu świadków z pośród żydów. Niezależnie od tego będzie działaność porucznika Mororesku przedmiotem interpelacji w parlamencie bukareszteńskim.

Dnia 21 czerwca był rozpatrywany proces adwokata Bokalogiego, który ciężko poranił redaktora gazety „Adverul”, żyda Rosensala. Sędzia pokoju, Mogolescu, brat właściciela domu, gdzie ma swoje siedzisko organizacja faszystowska, skazał Bokalogiego na 50 lewów kary.

Znając stosunek sędziego do procesu, redaktor Rosensal nie stawiał się na rozprawę.

Deputat miasta Teneswar, dr. Udel Ozoma, były minister, wręczył rumuńskiemu prezesowi ministrów, Bratianu memorandum żydów teneswarskich, w którym podaje szczegółowe sprawozdanie o ekscesach, które miały miejsce niedawno w Teneswarze pod przewodnictwem studentów.

DZIECI ŻYDOWSKIE NA UKRAINIE.

Badania lekarskie dzieci żydowskich, które niedawno wprowadzono w guberniach: Mikołajewskiej, Chersońskiej i Jekaterynosławskiej, dają smutny obraz stanu zdrowotnego tych dzieci. Znaczny ich procent choruje na anemję i tuberkulozę. 70 proc. dzieci w gubernii Jekaterynosławskiej nie ma pościeli i sypia na gołej ziemi. Kryzys ekonomiczny, panujący w kraju, od bija się również bardzo ostro na stanie zdrowia ludności żydowskiej. Dnia 15 czerwca otwarto na Ukrainie cały szereg instytucji dla dzieci żydowskich. W Ługańsku urządzono sanatorium dla dzieci, a w 11 kolonjach żydowskich przytulki. Prócz tego otwarto w ostatnich czasach 3 stacje dla zwalczania malarji.

Jak wygląda chrzest bolszewicki.

Polega on na tem, że noworodek, owinięty czerwonym sztanbarem sowieckim, na rękach rodziców wędruje przed oblicze komisarza, a rodzice składają przed komisarzem uroczystą przysięgę, że dziecko będzie wychowywane w zasadach komunistycznych. Potem otrzymuje dziecko imię, ale nie jakiegos świętego, tylko czysto bolszewickie. Najczęściej imię Lenina — Iljicz, albo imię stworzone z dowolnego zestawienia liter nazwiska Lenina, a więc Ninel, Lenul. Także i nazwiska innych wybitnych prowodyrów bolszewickich zmieniono na imiona własne. Spotykamy więc dzieci, których imiona brzmią: Zinowi, Łunaczar, Ledaw, Dzierr, Eugtryda. Nie brak i takich imion jak: Narkom, Kompard, Agitrop, Awangard.

Polowiczny sen.

Na kongresie lekarskim w Wiedniu przedstawił pewien lekarz młodą pacjentkę, którą usypiał polowicznie, t. j. dowolnie prawą lub lewą połowę ciała. Najciekawsze atoli było przytem to, iż objawy snu były różne zależnie od usypienia tej lub tamtej strony ciała. Zdumienie lekarzy wywołał fakt, iż przy usypieniu z prawej strony zanikała zupełnie zdolność czytania, pisania, mówienia, czego nie zauważano przy usypieniu lewej połowy ciała. Śpiąc tak polowicznie, pacjentka ma z zamkniętymi tylko jedno oko, albo prawe albo lewe.

Lekarze obiecują sobie bardzo wiele po tem doświadczeniu.

Z Rivieri na Korsykę.

„Moja” mewa. — Czupurna staruszka. — Pełnym gazem! — Głosy z „tamtego” świata. — Wybrzeżem Korsyki. — Hotel Rinaldini. — Ojciec francuz, matka polka... — Posąg pierwszego konsula.

Ajaccio, w lipcu.

Kto nie może osobiście przebyć lata na rajskiej Rivierze, niewątpliwie z przyjemnością poszybuje tam najszybszym i stosunkowo najtańszym środkiem lokomocji, t. j. myślą, znajdując dla tej podróży doskonałego przewodnika w jednym z podróżnych polskich, opisyującym niezwykle plastycznie piękno istotnie wycieczkę z Rivieri do miasta, gdzie stała kolebka Napoleona. W porcie Antibes jest stacja towarzystwa komunikacji powietrznej, skąd stale odjeżdżają hydroplany na Korsykę i z powrotem i tam też zaczyna się wycieczka.

Krótkie formalności w biurze dyrekcyj, poczem, kierownik tejże prowadzi mnie uprzejmie ku odległemu o kilkadziesiąt kroków molo wi, przy którym kołysze się na falach „moja” maszyna, zgrabny hydroplan, podobny trochę do dużej mowy z białymi skrzydłami. Na molo spotykamy wesołą i bardzo rozmowną staruszkę, lat około 70; przewodnik mój informuje mnie, że dama ta właśnie w tej chwili wybiera się drogą powietrzną na Baleary, Algier do Casablanki i prosi mnie, aby ustąpić jej pierwszeństwa w odlocie. Wyznam szczerze, że jeśli miałem do owej chwili przyjemne przeświadczenie o własnej odwadze, straciłem je bez reszty w obliczu tej staruszki, wybierającej się w dwutysięczokilometrowy lot nad morzem i pustynią. — Przychodzi i na mnie kolej Hydroplan mój podciąga rybacy na linach do mola i po drabinie wchodzi na moje miejsce przed pilotem, w wygodnej małej kabinie, chroniącej od wiatru i niepoгоды. Wymieniam serdeczny uścisk dłoni z bardzo sympatycznym pilotem i zakładam na uszy słuchawki radiotelefonu. W głębi bowiem aparatu — między mną a pilotem mieści się siedzenie dla radiotelegrafisty dla którego o nienaganności połączenia z lądem.

Ruszamy — długim łukiem obiegamy po wodzie całą zatokę, zapewne dla wypróbowania motoru i znalazłszy się wprost wylotu na morze, ruszamy pełnym gazem. — Przez dłuższą chwilę ślizgamy się w zawrotnym pędzie po gładkich falach portu, przy wyjściu zeń uderzamy raz i drugi o większą falę poczem prawie bez wyraźniejszego przejścia, wzlatajemy w powietrze, podnosząc się w prostej linii lotu zwolna i zwolna ku górze. W kilka minut później lecimy już na wysokości 500 metrów, przebijając się przez wały obłoków, mijane z szaloną chyżością, które raz po raz przesłaniają nam morze pod nogami. Słyszę nagle wyraźne pytanie, jak się czuję i czy chmury nie przesłaniają mi widoku; ogłdam się za siebie i widzę, że mechanik jest pogrążony w majstrowaniu koło lampki aparatu. Rozmawia więc właśnie ze mną dyrektor przystani lotniczej w Antibes, której ostatnie kontury roztopiły się w przestworzu daleko, daleko poza nami. Lecąc wysoko nad falami morza ku lądom dalekim, a jednak tak bliskim, dzięki geniuszowi Marconiego, otulam się w płaszczy, rozmyślając smutnie nad naszą polską mizerją. U nas, niestety, inaczej, niż tutaj w słonecznym kraju kultury i swobody.

Pogrążony w tych rozrzmiankach, nie zwróciłem uwagi, że mgieł jest coraz mniej koło nas... przebiegają obok jak niedobitki, pędzone zwycięskimi promieniami słońca, które też wkrótce ukazują się w całym swym majestacie na przeczystym lazurowym niebie bezchmur. W aparacie telefonicznym odzywa się głos z Ajaccio z Korsyki, mimo, że dzieli nas od niej jeszcze około 130 kilometrów, nieco mniej niż połowa drogi. Zawiadamiają mnie, że właśnie wlatuje w Ajaccio hydroplan, wiozący na ląd stałego prefekta Korsyki i że aparat wiozący tego dostojnika, spotkać powinniśmy za tyle, a tyle minut. Gdy rozglądam się dookoła za nim zwraca mą uwagę na siebie zbity chmur przedziwnej białości, jakby osadzony w dali, tuż na falach. Zbliżając się doń w rozkosznym upojeniu lotu, rozpoznaję w domniemanych górach śnieżne szczyty Korsyki, tej prawdziwej „Ile de Beaute”. Obniżamy poziom naszego lotu i suniemy wzdłuż wybrzeża, załamującego się raz po raz w głębokie zatoki, odgraniczane skalnymi ostrogami, przylądków. Widok staje się tak nieporównany w swym przepychu jak fantastyczny sen. Dwa największe cuda przyrody, góry i morze, zlały się w całość bajecznie piękności: w ramy nieskalanego lazuru morza i błękitu ujęte są śnieżne, poszarpane turnie, wyrastające ze świeżej zieleni lasów; u stóp ich słoneczne doliny pokryte doskonałymi różowym kwieciami świeżo rozkwitłych drzew i białe fałdy rozbijające się o czerwone skały nadbrzeżne. Już ukazują się białe domki rodzinnego miasta Napoleona — parę śmiałych spirali i nasz hydroplan, skacząc po falach, wpływa do portu.

Witany nad wyraz uprzejmie przez miejscowego przedstawiciela „Aeronaralu”, wchodzę w ciśnie i bardzo brudne ulice miasteczka w poszukiwaniu hotelu; jeszcze w powietrzu projektowałem zamieszkać w Ajaccio, w małym, prawdziwie romantycznym „albergo”. Ujrzawszy jednak niektóre, mniej przyjemne akcesoria korsykańskie go romantyzmu, zamieszkałem ostatecznie w porządnym, choć niesłychanie tanim hotelu — nazywałem go stale hotel Rinaldini, nie wiem już, dzięki jakim asociacjom — którego dyrektor, młody, sympatyczny człowiek, o blond włosach i wybitnie słowiańskim typie, okazał się całkiem niespodzianką... polakiem, pochodzącym w dodatku z Wilna, z matki polki i ojca francuza, mieszkającego w Szwajcarii. Wsłuchany dobrze w rodzimy język swej matki, rozumiał wszystko, co do niego po polsku mówiłem, odpowiadał jednak po francusku, nie umiejąc się po polsku wyśłowić. Jemu to i jego nad wyraz życzliwym wskazówkom zawdzięczałem możliwość poznania Korsyki w wycieczkach łodzią wzdłuż dzikich poszarpanych skał.

Pragnąłem bardzo zachęcić licznych polaków, udających się rok rocznie na Rivierę, by choćby na kilka dni zrezygnowali z banalnych trochę rozrywek Nizzy czy Monte, by znaleźć się w obliczu tej przyrody tak bogatej, bujnej i tak po królewsku rozrzuconej. I zczyłbym im spędzić choć parę godzin w Ajaccio, gdy pełnia księżyca oświetla al górnym wielkim plac nad morzem, skapanem w fantastycznej poświacie i kiedy w obramieniu nieruchomo w przestworzu zawisłych palm pierwszy konsul spogląda z białego swego posagu na ojczyznę swą, tak cudownie piękna, jak nieśmiertelna jest chwila, którą ją opromienił.

P. W.

Postępy telegrafu bez drutu.

W królewskim towarzystwie sztuk i nauk w Londynie złożył Marconi dnia 3 lipca b. r. sprawozdanie ze swoich najnowszych doświadczeń w zakresie przesyłania depesz przy pomocy fal krótkich. Opisał prace, dokonane na pokładzie jachtu „Elektra”, posiadającego najlepszą na świecie stację telegrafu bez drutu. W czasie kró-

rych od wybrzeży Kornwalji wysłał do Argentyny szereg depesz z nadzwyczajną szybkością i minimalnym zużyciem energii.

Marconi oświadczył, że nowy jego system pozwoli w przeciągu sześciu godzin przesyłać dwa razy tyle depesz, ile ich obecnie przesyła się przez całą dół.

CO DZIEŃ NIESIE?

LIPIEC

11

Piątek

Dziś: Pięta P. M.
Jutro: Janka Gwalberta
Wschód s. o g. 5:19
Zachód s. o g. 7:54
Wschód ks. 1:51 pp.
Zachód ks. 12:25 pp.
Dług. dnia 16 g. 28 m.
Ubyło dnia 0 g. 18 m.

Biblioteka Publiczna, ul. Andrzejka 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.

Miejska galeria sztuki, park im. Sienkiewicza wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i zdobnictwa polskiego, otwarta od 10 r. do 8 w.

Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska.

Teatr Miejski

w parku Staszica:

„Peg moje serce”.

Teatr letni „Scala” w ogródku Variete. Program nr. 3.

„Casino”:

„Apasza z Paryża”.

„Luna”:

„Młody Maharadża”.

„Odeon”:

„Romans księżniczki de Valois”.

„Grand-Kino”:

„Zakazane miasto”.

Kino współdz. pracown. państwowych:

„Dzień Karnawatu”.

Kryminalistyka i wypadki.

KRADZIEŻ KRÓW.

W nocy z dnia 8 na 9 lipca b. r. we wsi Starowa-Góra, gm. Gospodarz, nauczycielowi Wajssowi, niewiadomi sprawcy skradli trzy krowy. — Poszkodowany oblicza wartość na 700 złp. Za złodziejami cudzej własności wszczęto poszukiwania.

ZMECZONA ŻYCIEM.

(8) W domu przy ulicy Wagnera nr. 3 w mieszkaniu własnym usiłowała pozbawić się życia przez otrucie niewiadomym płynem 21-letnia Olga Karaś, robotnica.

Pierwszej pomocy udzielił despatcher lekarz pogotowia ratunkowego, pozostawiając ją na miejscu w stanie nie budzącym obaw.

Z GŁODU.

— Przed domem przy ul. Gdańskiej nr. 77 upadła na bruk 77-letnia staruszka Franciszka Konecka bez zajęcia, zamieszkała przy ulicy Lipowej nr. 28.

Nieszczęśliwa staruszkę pogotowie ratunkowe przewiozło w stanie b. osłabionym do szpitala miejskiego.

— Przy ulicy Zgierskiej nr. 7 w podwórzu domu zastała nagle z głodu padającą na bruk 49-letnia Antonina Opic, bez zajęcia, zamieszkała przy ulicy Targowej 41.

Po udzieleniu pierwszej pomocy przez lekarza pogotowia ratunkowego, nieszczęśliwa została przewieziona do szpitala miejskiego w stanie bardzo osłabionym.

POD TRAMWAJEM.

(8) W dniu wczorajszym został przejechany przez tramwaj przy ulicy Konstantynowskiej nr. 20 3-letni chłopiec, syn handlarza Stanisław Wojtczak, zamieszkały przy ulicy Konstantynowskiej nr. 21. Pierwszej pomocy udzielił nieszczęśliwemu Stasiowi lekarz pogotowia ratunkowego, pozostawiając go na miejscu.

HUMOR.

PODSŁUCHANE W GRAND-OGRODKU.

Pani X. — Jak ci się podoba narzeczonej Felci?

Pani Y. — Wzrusza to on nie jest... nie ma bogatego ojca!

Teoretyczne rezolucje.

Związek „Praca” odbył przedwczoraj zebranie delegatów włóknarzy. W rezultacie przyjęto rezolucję, która domaga się od rządu, aby zmusił przemysłowców do natychmiastowego, pełnego uruchomienia fabryk, poczem zwraca się ostro, przeciwko wydalaniu z fabryk przedewszystkiem delegatów i członków związków zawodowych, żąda rozpoczęcia na szeroką skalę robót publicznych i wypłacania niezatrudnionym przy tych robotach zapomogi w wysokości rzeczywistych ich zarobków, a wreszcie porusza sprawę zajmowania się pracą zarobkową kilku członków jednej rodziny. Poszczególne punkty tej naogół rzeczowej rezolucji wymagają oświetlenia.

Otóż przedewszystkiem zmusza nie przez rząd przedsiębiorców do uruchomienia fabryk jest postulatem niewykonalnym. Uruchomienie fabryki nie przedstawia żadnych trudności. Robotnikom nie chodzi przecież o moment uruchomienia, ale o to, by fabryka szła i by otrzymywali pieniądze za pracę.

Otóż sytuacja jest dzisiaj taka, że o systematycznej sprzedaży produkcji nie może być mowy, a zdobywanie pieniędzy na wypłaty i zobowiązania napotyka na nieprzezwyciężone trudności. — Sprawa „Widzewskiej Manufaktury” jest klasycznym przykładem niechęci przedsiębiorców do kontynuowania produkcji. Nikt chyba na serio nie myśli o tem, że „Widzewskiej Manufakturze” naprawdę idzie o jakąś moralną satysfakcję. Żądania wysuwane przez dyrekcję tej fabryki, a zmierzające do upokorzenia robotników i uczynienia wyłomu w dotychczasowych stosunkach między związkami zawodowymi, a pracodawcami, są oczywiście zwykłymi wykrętami. Zarząd nie czuje się na siłach do uruchomienia fabryki i dlatego stawia warunki, nie mające z życiem gospodarczym nic wspólnego, wiedząc z góry, że warunki te nie mogą być przez ogół robotniczy przyjęte. Gdyby, przypuścimy to teoretycznie, robotnicy nawet zapłacili za wyrządzone szkody, „przepraszili” dyrektora (sic!) i zgodzili się na wydalenie delegatów, to zarząd niechybnie wynalazłby jeszcze jakieś preteksty, aby fabryki nie uruchomić. „Widzewska Manufaktura” stać będzie nie dlatego, że p.

Maks Kon czuje się obrażonym, i nie dlatego, że robotnicy nie chcą odkupić potłamanego krzesła i wprawić kilku wybitnych szyb, ale dlatego, że „Widzewska Manufaktura” nie widzi możliwości powrotu do normalnej pracy. Niech tylko nastanie (znowu teoretyczne przypuszczenie!) lepsza konjunktura, a kamień obrazy napewno się gdzieś zapodzieje, sprawa wydalania delegatów pójdzie w zapomnienie, reperację stołków i biurków weźmie zarząd na swe barki i dym z kominów kłębić się zacznie z dawną intensywnością.

Z tych samych względów protest przeciwko wydalaniu delegatów jest również nierzeczowy, ponieważ to wydalanie jest jeno pretekstem do wszczynania zatargów mających upozorować zamykanie przedsiębiorstw.

Słusznym bezwzględnie jest projekt zastępowania przy pracy członków rodzin, których głowa pracuje, głowami rodzin bezrobotnych, cierpiących głód. Ale na humanitarności i zajęcie się tem pracodawców, choćby to nawet były władze państwowe i komunalne, liczyć nie można. Otwiera się natomiast w tej dziedzinie pole dla pracy związków. One mogą zmusić tych członków, których rodziny są zabezpieczone, do ustąpienia miejsca bezrobotnym towarzyszom. — Byłby to piękny dowód karności organizacyjnej i zmysłu społecznego członków związku. Oczywiście metody działania winny być przez związki opracowane.

Reasumując zapadające rezolucje na zebraniach robotniczych, stwierdzić trzeba, że ich praktyczne znaczenie nie jest wielkie, szczególnie gdy wychodzą one z błędnych założeń i dopatrują się źródeł klęski bezrobocia zupełnie gdzieindziej, niż one tkwią w rzeczywistości. Przemysł przeżywa kryzys. Śmieszne jest domaganie się od pracodawcy altruizmu i negacji jego własnych interesów. Klasa robotnicza, a raczej jej przywódcy, muszą przedewszystkiem wniknąć w istotę zastoju i na tem polu szukać remedium. Jeśli uda jej się znaleźć środki do złagodzenia tej klęski, pomoże wprawdzie przemysłowi, ale jednocześnie zapewni i sobie standard of life. Observer

Po wyborach w zarządzie kasy chorych.

Wbrew wszelkim przewidywaniom prezesem zarządu kasy chorych został przedstawiciel PPS. p. Kałużyński.

Wybór ten nie pozbawionym jest głębszego znaczenia, niżby się to na pozór samego tylko przebiegu głosowania wydawało. Na ogół siły dwu zasadniczo odrębnych odłamów robotniczych na terenie kasy są równe. Trudno więc było w normalnych warunkach o jakiegokolwiek modus vivendi. Jakiśmą zaznaczyli siły są równe — żadna jednak ze zwalczających się grup nie posiada większości decydującej.

Nadwyrza czułym językiem u wagi jest grupa pracodawców, która z racji odrębnego stanowiska zostaje poza nawiasem swarów między ubezpieczonymi. Ten ściśle ograniczony zakres i rezerwa daje pracodawcom możliwość decydowania. Tak też się stało z wyborem prezesa zarządu.

Pracodawcy demonstracyjnie głosując za przedstawicielem PPS,

obalili jednocześnie kandydata polskich związków zawodowych. — Czego to dowodzi?

Pracodawcy w myśl nakreślonego przez się programu taktycznego zrezygnowali z należnych im na podstawie ustawy mandatów, ograniczając swą rolę jedynie do twórczej opozycji. Z drugiej strony wynik głosowania posiada niesłychanie doniosłe znaczenie polityczne. Pod żadnym pozorem nie można bowiem posadzić pracodawców nawet o cień sympatii do PPS. et vice versa.

Pracodawcy rzucając swe głosy na p. Kałużyńskiego chcieli widocznie podkreślić, że nie mają zaufania do zdrowego zmysłu gospodarczego i społecznej uczciwości N. P. R. „Z dwojga złego lepsze mniejsze” — to była i najprawdopodobniej jest w dalszym ciągu platforma pracodawców, która obrali sobie w działalności na terenie kasy chorych.

Ofiara zachłanności kamieniczniczki.

List do redakcji, który wzrusza do łez.

Otrzymałmśmy wczoraj otwarty list do redakcji, który dosłownie przytaczamy, chcąc napiętnować nieludzkie postępowanie właścicielki domu przy ulicy Drewnowskiej 101, pani Marty Borawskiej. Szanowny Panie Redaktorze!

Zechciej na łamach swego poczytnego pisma umieścić te kilka słów, które odnoszą się do nieludzkiego postępowania właścicielki nieruchomości w dzielnicach robotniczych.

Z zawodu jestem tokarzem i dotychczas zamieszkiwałem jako sublokator u p. F. Ziemskiej, na trzecim piętrze w domu przy ul. Drewnowskiej nr. 101.

Po wyjeździe lokatorki do Francji, właścicielka domu p. Marta Borawska zażądała odemnie bałojńskiej wprost sumy za zezwolenie na dalsze korzystanie z zajmowanego mieszkania.

Ponieważ jestem bezrobotnym, nie byłem w stanie uskutecznić zadania właścicielki domu.

Prośby moje zostały nieuwzględnione i na mocy uzyskanej eksmisji, zostałem wyrzucony z choremi dziećmi na podwórze.

Jestem w krytycznym położeniu, gdyż bez pracy i grosza w kieszeni.

Zmuszony przeto jestem zwrócić się tą drogą do ofiarności publicznej z prośbą o przyjęcie z pomocą nie tak dalece mnie, jak chorą dzieciom, nie mającym przytem matki.

W nadziei, iż apel ten nie przejdzie bez echa, zechciej Szanowny Panie Redaktorze przyjąć słowa szacunku od nieszczęśliwego ojca.

Wiktor Grossfeld
ulica Drewnowska 101

Życie i sąd.

FELJETONIK SĄDOWY.

TERTIUS GAUDENS.

Bezdzietne małżeństwo Sobolewskich zamieszkiwało poddasze przy ul. Aleksandrowskiej.

Mał i zarazem pan domu, wychodził z założenia, że Pan Bóg stworzył rodzaj żeński po to tylko, by obsługiwał męskiemu. W rezultacie próżnował i przeklinał ustawicznie nieszczęśliwe losy, z zarobionych zaś przez żonę praczkę pieniędzy, opętał przedewszystkiem swoje prywatne wydatki.

Ponieważ obywatel dzielnicy staromiejskiej był gorliwym zwolennikiem Bachusa i Wener, znały go nie tylko karczmy i szynki okoliczne i bawiła się tam brać ale też damy i damulki, lubujące się w spacerach nocnych.

Wracał zwykle do domu o świcie o ile mu komisarjat policyjny nie udzielił bezpłatnego a przymusowego noclegu. Uważając jednak wszelkie ćwiczenia cielesne za nieodłączny czynnik zdrowia, „prał” ile włożył błędnego stróża, który mu otwierał brame.

Żona protestowała wprawdzie czasem, lecz nie mogła się przeciwstawić mężowi, który posładał „żelazny argument” w postaci silnych pięści.

Siedząc nad kieliszkiem wody życia, zapoznał się z zawodowym „epikurejczykiem” podmiejskim, który chwilowo nie posiadał odpowiedniego „lokalu”.

Pan Zygmunt, mając od urodzenia dobre serce, ułtował się nad bezdomnym i pozwolił mu u siebie spać.

Nowy lokator okazał się nieoszacowanym towarzyszem zabaw czemu się musiała przyglądać nieszczęśliwa małżonka grzytnąjąc zębami i marząc o odwecie.

Gdy nadeszły urodziny sublokatora, postanowili je obaj mężczyźni wesole przepędzić. Zaprosili więc — podczas nieobecności Marianny — dwie wesole kuzynki napędlili kieliszki i zabawa zaczęła się na dobre.

Nagle w drzwiach stanęła żona p. Zygmunta. Po krótkiej dyskusji podochocony mążulek jakby przywłaszczając sobie łach zony, zaczął „prac” swą żywicielkę. Na krzyk ofiary energii męzowskiej, zbiegł się lokatorzy; znalazł się również po liejant, który sporządził protokół.

I przysłowie, które głosił że: „gdzie się dwóch bje, tam trzeci korzysta” — okazało się tym razem słusne. Gdy skończył w danym wypadku gospodarz domu, który przedstawiwszy parę małżeńską jako źródło wszelkich nieporządków i zakłóceń spokoju, uzyskał eksmisję.

Seg.

Na sali balowej.

Niedziela. Na jednej z sal tancecznych w naszym mieście zabawa wre w całej pełni. Przy dźwiękach jazzbandu, kilkadziesiąt par „kręci” się po sali. Woń potu i ordynarnych perfum miesza się w jakiś nieokreślony zapach, drażniący powonienie.

Na sali, jak zwykle w niedzielę, towarzystwo mieszane, nie tak da lece dobrane, jak ze sobą zgrane. Wszyscy czują się jak u siebie w domu, więc etykieta towarzyska jest tu zupełnie zbędna.

Do panny Ziuty K. dochodzi „sympatyczny” chłopak o minie kryminalisty.

— Czy mogę prosić pannę do... „jajeczka”?

White.

— Za co nie? A czy pan dobrze zna tę figurę, co to idzie się na przód a potem w tył?

— Tyż mi pytanie! Niech się panna Ziuta nie pyta, ino się przekonaj.

Muzyka gra jawę. Wśród bezustannych głośno zwracanych tancerzom uwag, że niewłaściwie się zachowują wobec swych dam, mistrz tańca stoi we drzwiach swej „szkoły” i inkasuje pieniądze za wejście.

Gdy muzyka przestała grać, panna Ziuta wróciła na swoje miejsce, lecz ku swemu przerażeniu, zauważyła brak broszki z brylancikiem, którą miała wpiętą w bluzeczkę.

W największym gniewie podeszła do swego tancerza i kategorycznie zażądała zwrotu swojej własności. Jegomość z miną kryjącą się jej w twarz, wobec czego, doprowadzona do ostateczności, panna Ziuta, czynnie go znieważała. Spoliczkowany natychmiast zapoznał Ziutę z końcami swych butów, a następnie gdy biedna dziewczyna z jejkiem osunęła się na podłogę, gentleman złapał czapkę i ulotnił się ze sali. Zauważywszy doktor pogotowia, po udzieleniu pierwszej pomocy, odwiózł pobitą Ziutę do domu.

Po upływie kilku tygodni panna Ziuta poznała na ulicy jegomościa, który tak nietaktownie z nią postąpił, a w dodatku zabrał jej broszkę. Doszła więc do niego i zażądała zwrotu broszki, grożąc oddaniem go w ręce policyj. Zaskoczony widokiem panny Ziuty, złoczyńca odpowiedział, iż broszkę sprzedał, ale natychmiast zapłaci za nią, ile zażąda. Zauważywszy policjant odprowadził złoczyńcę do komisariatu, gdzie podczas badania przyznał się do popełnienia kradzieży.

Sędziowie skazali Antoniego Kolka, notorycznego złodzieja, na rok więzienia. Poza tem pan Kofek teraz już naprawdę samotny, będzie jeszcze odpowiadał przed sądem za pobicie panny Ziuty.

Jas.

Tragiczny wypadek na lotnisku.

Uczeń pilot kpt. Łodziński poniósł śmierć na miejscu.

Wczoraj, o godz. 6,25 rano na lotnisku w Bydgoszczy, uczeń pilot kpt. Zbigniew Łodziński wznosił się na aparacie firmy „Kodron”, celem wykonania ćwiczebnego lotu.

Z niewiadomej przyczyny aparat dostał się w korkociąg i runął rozbijając się w drobne kawałki, przyczem pilot Łodziński poniósł śmierć na miejscu.

Aparat spadł z wysokości 150 metrów przy pełnym gazie, 100 metrów za strzelnicą lotniska. Z całego aparatu, z wyjątkiem części metalowych, została się kupa zgłizaczy i popiołu.

SPORT.

Floridsdorf A. C. (Wiedeń)—Turyści 3:0 (1:0).

Drugoklasowa drużyna wiedeńska, która zaprodukowała się wczoraj na boisku przy ulicy Wodnej, przy bardzo dobrej jeno woli patrzącej się co prawda wiedeńscy niezłymi biegami, krótkim podawaniem, grają płasko, w do- brem tempie, lecz technika ich nie jest zupełnie prymitywną. — Turyści zawiedli. Drużyna ta po- siada doskonałe jednostki w bra- ciach Kubikach, Frydmana i pra- wym pomocniku, który również Kahl, lecz klej, który te człon- ki łączy, t. zn. reszta drużyny bynajmniej na wysokości zadania nie stoi. Sympatycznemu temu ze- społowi brak przede wszystkim serca do gry, a okrzyki Fiszera i Neujahra również splendoru grze nie nadają. Debiutujący w I-szej drużynie bramkarz posiada zadat- ki na bardzo dobrego goalkeep- era, gra ofiarnie, lecz wyraźnie znać na nim brak treningu, no i... rutyny.

Przebieg meczu: Turyści w skła- dzie: Ziegler, Kahl, Neujahr, Fryd- man I, Kubik St., Hermans, Ma- gin, Frydman II, Kubik Al., Fisz- er, Koszade, po rozpoczęciu przez go- ści rewanzują się atakami w 1-ej minucie. Aż do 4-ej minuty gra o- twarta, od tej chwili jednak prze- nosi się pod bramkę gospodarzy, gdzie jednak wiedeńscy kombi- nując zawzięcie do strzału dojść nie mogą. Kubik Al.—Frydman—Magin rozbijają się o niedwopo- zycję strzałową gospodarzy. W 6-ej minucie z wykopu i Zieglera piłkę dostaje Koszade, podprowadza pod bramkę i jeszcze raz marnuje pozycję. — Goście cały czas po- d bramką gospodarzy i wreszcie po długotrwałej kombinacji środko- wej trójki w 13-ej minucie prawy

łącznik ostrym strzałem uzyskuje bramkę.

Turyści pragną wyrównać, gra- ją jednak fatalnie usposobionymi skrzydłami i nie zdziałać nie mo- ga. W 26-ej minucie sytuację mar- nuje Fisz-er, strzelając w plecy bra- ma, a potem nad poprzeczkę. — Tempo słabnie, goście w przewa- dze, kilka doskonałych wyjaśnień sytuacji przez grającego ciągle w defenzywie prawego pomocnika Turystów i przerwa.

W drugiej połowie gra bardziej otwarta. Wiedeńscy poczynają grać brutalnie. Świetnym bie- giem odznacza się kilkakrotnie ich prawe skrzydło. Kubik Al. kil- kakrotnie w dobrych pozycjach na spalonym, brat zaś daje koncert techniki wychodząc zwycięsko z walki z trzema nawet przeciwni- kami.

Dobre podania Frydmana do Kubika i naodwrot marnują strzel- cy bijąc w au t lub nad poprzec- kę. Magin gra lepiej — centry je- go jednak nie znajdują odbiorców. W 10-ej minucie strzela prawy łącznik Floridsdorfu, Ziegler ro- binzonuje, piłka jednak przekakuje przezeń i wpada w siatkę. Drugą bramkę uzyskuje goście z karne- go „dobitego” po wypuszczeniu piłki z rąk przez bramkarza.

Znow kilka ślicznych passingów Frydmana i Kubika — wszystko niewyżytkane. Ataki Turystów coraz częstsze, jednak bez rezul- tatu.

Wiedeńscy poczynają skan- dalicznie faulować i wreszcie przy przewadze gospodarzy doskonale sedzujący p. Otto mecz zakończ- a.

Najlepsi na boisku: Kubicy, Frydman I i II, prawe skrzydło i śro- dek napadu i pomocy Floridsdor- fu.

PANTOFELKI I REKAWICZKI.

Moda należy do tych nielicznych kobiet, które nie zawodzą nigdy. Nie zawiodła też naszych nadziei i tym ra- zem, w monotonie lata kilka nowych i oryginalnych szczegółów. Dotyczy one przede wszystkim obuwia, które stało się przedmiotem pierwszorzędnej wagi z powodu nagłego i znacznego skróce- nia sukien. (Niedawno był trzewik waż- ną częścią garderoby, z powodu długich sukien). Trzewik wysoki nie ma zasto- sowania w lecie, gdyż nawet dłuższe wyściełki i przechadzki odbywa pani w wygodnym półbutku z miękkiej gru- bej skóry. Nie o nich jednak chciałam mówić, ale o ślicznych fantazyjnych półbutkach z białej lub popielatej zam- szy, inkrustowanej czarnym lakierem. Rywalizuje z nimi czarny lakierowany półbut, inkrustowany skórą koloro- wą. Oba te rodzaje są jednakowoż mo- dne i nadają się do kostiumów, okryć i robes manteeux.

Do ślicznych sukienek poteca moda pantofelki z kolorowej skóry, z czarne- mi aksamiłkami, nabłanem stalowymi ćwieczkami. Kolorowa obuwie jest w tym sezonie bardzo modne, panie noszą je przeważnie do czarnych sukien i kostiumów, które obowiązują paryżanki w godzinach popołudniowych.

Podobną troskę o obuwie, otacza moda rekawiczki. Długie sięgające za łokieć, towarzyszą jedynie toaletom wieczorowym w dzień, bez względu na rodzaj rękawa, nosi się rekawiczki krótkie. W ten sposób może pani poka- zać wszystkie swoje bransolety i nara- mieniki, którymi moda obdarzyła ją na obecny sezon. Rekawiczki białe z czarnym wyszczem uchodzą za najwy- kwintniejsze; do jasnej sukienki można jednak śmiało włożyć rekawiczki czar- ne. Ma to swój specjalny smak, mity współczesnej kobiecie.

Do kostiumu nosi pani rekawiczki szwedzkie do prania, z nastaniem zaś jesieni chętnie powróci do angielskich boksów.

WYRAFINOWANA ZEMSTA.

W życiu towarzyskiem Paryża dobrze jest znana 50-letnia piek- ność, hrabina Tessancourt. Pomi- mo dojrzałego wieku używa życia przekwitająca dama, pełno jej wszędzie, znają ją kabarety i noc- ne restauracje, a na każdej tea- tralnej premierze spotkać można panią hrabinę. Lecz ponad wszel- kie przyjemności przekłada ona ta- niec i odwiedza namiętnie dancin- gi. — Podczas takich odwiedzin poznała hrabina Tessancourt za- wodowego tancerza p. Dawida Mei- snera, emigranta rosyjskiego.

Jaki stosunek łączył hrabinę z tancerzem, niewiadomo, dość, że po dwóch tygodniach wspólnych tańców p. Dawid zniknął bez śla- du, a dama spragniona jego wido- ku rozpoczęła poszukiwania za za- ginionym.

Pewnego dnia, gdy hrabina znaj- dowała się w domu, zapukał do jej

mieszkania jakiś nieznajomy czło- wiek. Miał długą, czarną brodę i ciemne okulary. Przedstawił się ja- ko urzędnik policji kryminalnej i postanowił przeprowadzić rewizję w domu pani hrabiny de Tessan- court.

Postać agenta policyjnego wyda- ła się dosyć podejrzana gospodyni domu, zawiadomiła więc policję i w lot zjawił się komisarz, okazało się, iż fałszywym agentem jest tan- cerz Dawid Meissner. Ponieważ słusznie przypuszczano, iż chciał okraść swą wielbicielek z dancin- gu, przeto został uwięziony.

Wtedy zrodziła się w nim chęć zemsty.

Oświadczył sędziemu, iż hrabina Tessancourt jest zwykłą awantur- nicą bulwarową i stoi na czele ban- dy opryszków, którzy okradają go- ści nocnych lokali, zabierając im pałta, pieniądze i klejnoty.

Sprawa stała się głośną w Pary- żu i dwóch sędziów śledczych roz- poczęło badanie. Nie mogli jednak wpaść na trop przestępstw, o któ- re oskarżył hrabinę jej tancerz.

Nawet sam oskarżyciel nie mógł dostarczyć żadnych dowodów, twierdził jednak, iż jest namięt- nym kokainistą, skutkiem czego zatracił pamięć nazwisk. Po dłu- giej śledztwie uwolniono hr. Tes- sancourt od zarzutów. Wiadomość ta podzielała tak druzgocąco na Dawida Meissnera, iż stracił przy- tomność i został odstawiony do szpitala.

CZY WARTO SIĘ TRUĆ DLA SZCZĘŚCIA ZDRADZAJĄCEJ ŻONY.

Pisma amerykańskie notują eks- centryczny wypadek samobójstwa robotnika polskiego Józefa Nowi- kiego, zamieszkałego w Detroit, stanie Michigan.

Nowicki do szaleństwa kochał żonę swą Teklę. Chcąc zapewnić jej beztróską przyszłość na wypa- dek śmierci ubezpieczył się na su- mę 1000 dolarów.

Pani Tekla jednak nie podziela- ła gwałtownej miłości mężowskiej. Znalazła sobie ideał w osobie An- toniego Łosickiego i dążyła do po- łączenia się z nim na zawsze.

Mąż, powracając z pracy widy- wał żonę stale zapłakaną i za- smuconą. Długi czas nie mógł do-

wiedzieć się przyczyny rozpacz- y. Gdy zaś pewnego dnia dowiedział się prawdy, postanowił skończyć z życiem, aby pozwolić żonie po- łączyć się z ukochanym i podnieść 1000 dolarów asekuracji.

Większa doza arszeniku zrobi- ła swoje. Nowicki żyć przestał.

Czyn jego jest tematem licznych rozmów i namiętnych sporów. Idealny czy głupi małżonek? — pytają wszyscy.

Jedno z pism amerykańskich przeprowadziło na ten temat an- kietę wśród swych czytelników.

Ciekawe są jej wyniki. Trzy- czwarte głosujących potępia czyn Nowickiego.

Kilka tylko niewiast gloryfikuje jego postępek.

Może tem chęć sprowokować własnych mężów?

POMYSŁOWY WYROK.

Sędzia jednego z sądów w Lon- dynie miał do rozpatrzenia spra- wę bardzo zabawną. Dwie panie- ki łączące łącznie lat trzydzieści pięć, wtargnęły w Chichester, miejscu swego zamieszkania, do dorożki automobilowej z rewol- werem w rękę i zagroziły szoferowi, że go zastrzela, jeżeli możliwie jaknajszybciej nie zawiezie ich do Londynu.

Szofer ustąpił przed groźnym przymusem, przybywszy jednak do Londynu kazał zaarrestować obie pasażerki. Okolicznością łag- odzącą, prócz młodego wieku, okazało się również to, że rewol- wer nie był nabit. Sędzia wobec tego kazał obie oskarżone wypu- ścić na wolność, wydał jednak wy- rok, skazujący je na pozbawienie możliwości uczęszczania do kine- matografu przez sześć miesięcy.

NARZECZENI, MAJĄCY 37 DZIECI.

W miejscowości Kufstein w Ty- rolu, odbył się niedawno ślub nie- jakiego Folgera Daniela z Jadwi- gą Pöschl. Nowożeńiec liczył 62 lata i posiadał z pierwszego mał- żeństwa 21 dzieci, narzeczona zaś liczyła 59 wiosen i wprowadziła do rodziny swego drugiego męża 16 dzieci. Wesele odbyło się w „ścisłym gronie” przy udziale 180 osób.

„Messalina sowiecka” uprawia w Norwegii propagandę.

Uchwała norweskich komunistek brzmi: kobieta ma prawo zabić swoje dziecko.

Traktat handlowy, który Nor- wegja zawarła z Rosją sowiecką, otworzył Rosji szerokie pole dla propagandy komunistycznej w kra- jach skandynawskich.

Nie udało się wprowadzić agen- tom bolszewickim zorganizować związku komunistycznego studen- tów kopenhaskich, ale zato pro- wadzi się żywą propagandę wśród kobiet. W Szwecji istnieje aż 50 kobiecych związków komunisty- cznych, a na czele komunistek stoi literatka Anna Pring.

Planową organizacją propagan-

dy komunistycznej kieruje „Mes- salina sowiecka” p. Kolontaj, któ- ra jest przedstawicielką rządu so- wietów w Norwegii.

Niedawno odbył się w Chry- stianji kongres komunistek, który powziął uchwałę, że kobieta mo- że zabić swe dziecko, gdy jej prze- szkadza!

Uchwałę przedstawiono parla- mentowi norweskemu.

Prawdopodobnie rząd norweski zaprotestuje przeciw zapędowi a- gitaacyjnemu przedstawicielki so- wietów.

Czytajcie „Głos Polski”.

MAURICE RENARD.

ZBRODNIA.

Villiers otworzył oczy. Albo też po prostu zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że oczy jego są otwarte.

Otwarte i niewidzące otaczają- cego ich świata. Na razie wzrok je- go tonął w jakiejś niewyraźnej bia- ławej mgłę, mgłę wzbudzaającej w nim dziwną i nieodpartą grozę.

Ale pomimo to nie była to już zupełna noc, która dotychczas ota- czała wszystkie jego zmysły. Był to już powrót do życia, było to życie!

Pozostawał tak przez parę chwil aż straszna apatia i niemoc trochę zaczęły ustępować.

Po chwili zaczął rozróżniać ota- czające go przedmioty.

Jakaś biała masa odcinała się ciemnym tłem zieleni i umysł jego czynił nadludzkie wprost wysiłki, by zrozumieć co by owa masa zna- czyć mogła. Wydawała mu się o- na dziwnie znajoma.

Mnóstwo zieleni otaczało polan- kę i wysokie korony drzew dziw- nie wesoło odcinały się od pogod- nego nieba.

Gdy oko jego poczęło się oswa- jać z otoczeniem i zwróciło się na

ziemię, zauważył całe stopy pola- nianych gałęzi i zerwanych liści.

Zauważył także jakieś szczątki. Szczątki....

Nagle Villiers przypomniał sobie wszystko, co poprzedzało chęćną chwilę.

W uszach zabrzmiały mu na no- wo ostatnio zasłyszane dźwięki i świst skrzydeł samolotu, nagły spa- dek, krzyk trwogi Janiny i grzmot rozbijającego się o ziemię statku.

Biała masa to śmigło, prawe śmi- gło biplanu, a reszta rozbita roz- traskana na drobne strzępki.

Statek runął z wysokości 400 metrów.

Przez chwilę dziki przestrasch opanował rozbitek: czy jest ciężko ranny, czy też byłoby to tylko skut- ek upadku, czyli proste oszołomie- nie?

Uczynił nieludzki wysiłek i po- mimo strasznego bólu podniósł się na łokciach. Wszystko zawirowa- ło dokoła niego. Świat chwiał się jak statek na pełnym morzu. Czar- na mgła przysłoniła mu oczy i cze- kał tak.... Na co? Ale po chwili poczuł przypływ siły.

Przecież nareszcie musi ktoś spostrzec rozbiteków.

Zjawi się ktoś z pomocą...

Rozglądając się nieszczęśliwy zauważył leżące obok ciała ko- biety.

Biała ubrana postać leżała zgie- ta trochę na zielonej murawie.

Janina!

Poznał ją i w tej samej chwili zapomniał o sobie. Całem jego je- stestwem zawiadnęła strach o ko- biętę.

To był jej pierwszy lot!

Pół godziny temu wzniesli się wśród wesołych okrzyków publi- czności i płynęli w przestworzach, szczęśliwi i weseli.

Mąż Janiny siedział na przodzie ona za nim, a Villiers był ostatnim.

To też korzystał on z sytuacji i szeptał wyznania miłosne i pie- szczoły do różowego uszka uko- chanej.

Aż nagle, nad laskiem maszyna wydała dziwny świst, prawe śmi- gło przełamało się na połowę i ru- nęło jak kamień z wysokości.

Villiers znow próbował uczynić jakiś ruch.

Ale nie udało mu się to. Wtedy w rozpaczliwym i strasznym wy- siłku oparł się na rękach i począł pełzać posuwając się na jednym kolanie.

Gdy zbliżył się do leżącej nieru- chomo kobiety zauważył, że jest ona śmiertelnie blada i zupełnie nieruchoma.

Ale nie było widać żadnej rany ani też śladów krwi.

— Być może, była tylko zem- dlona? — pytał samego siebie.

— Gdyby żyła, o gdyby mogła pozostać przy życiu — westchnął i nagle obejrzał się poza siebie, gdyż do uszu jego doszedł przecią- gły jęk.

Ujrzał trzeciego towarzysza po- dróży, męża, który leżąc pod drzewem jęczał w przeraźliwy sposób.

Był czerwony, prawie że fiole- towy i leżał na boku wyrzucając krew ustami w równych i kró- tkich odstępach czasu.

Villiers przypatrywał mu się i odrazu wrócił do rzeczywistości. Przecież chodziło o przyszłość! O przyszłość z nią!

To mąż!

A gdyby tego męża nie stało?

Przecież los mógł go zabić i zniknąłby na zawsze. Villiers po- czął się rozglądać. Zauważył w gałęziach drzewa, tuż nad głową rannego, masywny zbiornik aero- planu, który zawisł w gęstwinie drzewa.

Gałęzie ugiwały się pod tym cię- żarem i wystarczały najmniejsze- go ruchu, by metalowy ciężar spadł i roztrząsał głowę leżące-

go pod drzewem człowieka.

Któżby potem odnalazł przy- czynę jego śmierci? Pozostałby pogrzebany pod szczątkami sa- molotu i śmierć jego wydałaby się zupełnie naturalną.

Villiers znow począł się wysi- lać i pełził z zółtawą powolnością w stronę swego celu.

Gdy zbliżył się do drzewa i ujr-zał zbliska swego wroga, w ser- cu jego wezbrała tak szalona ża- dza życia, straszna chęć zemsty, że podniósł się na kolana i z całej siły pociągnął za zwisającą gałąź.

Po twarzy jego płynął strumie- niem zimny pot, a oczy wychodzi- ły mu prawie z orbit, gdy potra- śnął drugą gałąź.

Ale wysiłek jego osiągnął na- reszcie swój skutek: motor spadł i roztrząsał głowę rannego...

A już zdala poczęły dochodzić nawoływania ludzi i kilkanaście czarnych sylwetek, wymachując rękami biegnąc na miejsce kata- strofy.

Przybyli nareszcie...

Trzy trupy zalegały polankę.

Trup kobiety, trup jej męża z roztrząsaną głową i Villiers mar- twy i nieruchomy po strasznym wysiłku, który miał mu zapewnić szczęśliwą przyszłość z ukocha- ną...